

Śmiertelne ofiary PiS

13 lipca 2019

„Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my żyjemy” – mówi popularny nad Wisłą szlagier. Jeśli tak dalej pójdzie, tekst utworu trzeba będzie zmodyfikować. Za władzy PiS rekordowo rośnie bowiem w Polsce umieralność. I kolejnych kadencji rządów tej partii wielu z nas może zwyczajnie nie przeżyć.

* * *

414 200 – tylu obywateli naszego kraju według danych GUS przeniosło się w zeszłym roku do aniołków. Ostatni raz taką liczbę zgonów odnotowaliśmy podczas II wojny światowej, gdy z karabinami ganił nas Niemcy, i to bynajmniej nie do lekarza.

W bardziej miarodajnym wskaźniku umieralności na 1000 mieszkańców lekko gorzej niż dziś było tylko tuż po wojnie, gdy służba zdrowia była w powijakach. Ale by oddać sprawiedliwość, dodać należy, że wówczas – bez „500 plus” – rodziło się w Polsce ponad 2 razy więcej dzieci niż dzisiaj.

Od Gomułki do Jaruzelskiego – jak wiadomo władców morderczych reżimów – wskaźnik zgonów na 1000 mieszkańców był dla Polaków nieporównanie korzystniejszy. Jak to więc możliwe, że mimo rozwoju medycyny, dostępności nowych leków i większej świadomości zdrowotnej społeczeństwa umiera nas za PiS-u więcej niż kiedyś?

* * *

Wbrew temu, co można by wywnioskować po obejrzeniu „Wiadomości”, największym zagrożeniem dla życia Polaków nie są muzułmańscy terroryści, pedofile-mordercy ani nawet komplikacje po operacjach zmiany płci. Umieramy głównie na choroby krążenia (mężczyźni) i nowotwory (kobiety).

Jak jest więc z dostępnością do lekarzy? Według indeksu HAQ, mierzącego dostęp do usług medycznych na całym świecie, Polskę

pod tym względem wyprzedzają nie tylko Czechy, Słowacja czy Słowenia, ale także m.in. takie potęgi jak Portoryko, Bermudy i Liban. I o ile kaszel czy sraczkę leczy się u nas doskonale, o tyle kulejemy głównie pod względem leczenia nowotworów i chorób krążenia właśnie.

Podczas zeszłotygodniowej wielkiej konwencji PiS w Katowicach pierwszym punktem, na którym się skupiono, była ochrona zdrowia Polaków i szumna zapowiedź przeznaczania na ten cel 6 proc. PKB.

Tym, którzy mają słabą pamięć, przypomnieć należy, że PiS doszło do władzy w 2015 r., postulując właśnie zwiększenie wydatków na zdrowie z 4,7 do 6 proc. PKB. Drugi raz próbuje więc nam wcisnąć ten sam kit.

W czerwcu 2018 r. minister zdrowia Łukasz Szumowski zapowiadał u Danuty Holeckiej w TVP skrócenie kolejek na pilne badania obrazowe do maksimum 30 dni, nazywając zdrowie Polaków priorytetem rządu. No i odniósł wielki sukces.

Na badanie rezonansem magnetycznym, często kluczowe przy diagnostyce nowotworów, czeka się dziś średnio w trybie pilnym 106 dni. W trybie zwykłym zaś nawet 245 dni.

Do 29 dni udało się natomiast skrócić czas oczekiwania na pilną tomografię komputerową. Czy dzięki temu chorzy mają w ten jeden urwany dzień więcej czasu na wybór trumny? Dokładnie nie wiadomo. Zwykli pacjenci na tomografię czekają ponad 2 miesiące.

Jeszcze gorzej sytuacja wygląda, gdy weźmiemy pod uwagę średni czas oczekiwania na wizytę u lekarza specjalisty. Według danych Watch Health Care wskaźnik ten wzrósł z dwóch miesięcy w roku 2013 do czterech miesięcy w roku 2019, a tylko w ciągu ostatniego roku urósł aż o pół miesiąca. Na wizytę u endokrynologa czekać trzeba średnio prawie 2 lata. Na wizytę u kardiologa dziecięcego – prawie 12 miesięcy. Spośród analizowanych przez WHC wskaźników dostępności do specjalistów

w przypadku aż osiemnastu specjalności jest dziś gorzej niż było.

Niczym innym, jak kpiną z konstytucyjnego prawa do ochrony zdrowia, nazwać nie można terminów niektórych wyznaczanych przez NFZ zabiegów. 25,5 miesiąca czeka się średnio na artroskopię stawu biodrowego. Na rehabilitację po czymś takim w jednym ze szpitali w Ciechocinku dostać się można najwcześniej we wrześniu 2046 r.!

Nie LGBT, Unia Europejska, Rosja ani gender są największym zagrożeniem dla Polaków. Jeśli coś nas wymorduje, to PiS.

* * *

Wojnę ze zdrowiem ludności partia rządząca prowadzi także na innych frontach. Powszechnie znana jest jej potyczka z lekarzami, która skutkuje tym, że według raportu OECD i Komisji Europejskiej Polsce brakuje około 30 tysięcy specjalistów.

Nowych doktorków, jak wiadomo, albo robi się w bambuko w kwestiach finansowych (lekarze rezydenci ponownie zapowiadają strajki na jesień) i tym samym przymusza do emigracji, albo odcina się im dostęp do specjalizacji.

Nie lepiej dzieje się na rynku farmaceutycznym. I mowa tu nie tylko o najnowszym kryzysie, skutkującym tym, że na rynku brakuje ok. 500 specyfików dla chorujących m.in. nadciśnienie, cukrzycę czy astmę. Gra idzie głównie o to, że polskie niedofinansowane leczenie publiczne bazuje na tańszych i mniej skutecznych lekach, co w przypadku chorób nowotworowych znacząco zmniejsza szanse Polaków na przeżycie.

W połączeniu z tym, że na leczenie np. raka szyjki macicy łatwiej niż w Polsce dostać się w Korei Północnej, Mongolii czy Sudanie, daje to zwykle wiadomy efekt – cmentarz.

* * *

O ile można się licytować, który z rządów III RP w sprawie ochrony zdrowia dał najmocniej dupy, o tyle nikt nie ma chyba wątpliwości, że najbardziej szastającą pieniędzmi ekipą jest właśnie rząd Prawa i Sprawiedliwości. Do tej pory zawsze tłumaczono nam, że pieniędzy na służbę zdrowia w kasie państwa nie ma. Dziś okazuje się, że są. A raczej – byłyby.

Budżet NFZ na świadczenia zdrowotne w 2019 r. wyniósł 83,66 mld zł. Dla porównania roczny koszt programu „500 plus” po rozszerzeniu na pierwsze dziecko oscylować będzie wokół 40 mld zł. Czyli, licząc po chłopsku, służba zdrowia mogłaby być aż o połowę lepiej dofinansowana, gdyby forszę państwo z jednej kieszeni przełożyło do drugiej.

Wtedy jednak prorodzinni politycy prawicy z Kaczyńskim na czele nie mogliby promować rzekomego wzrostu liczby Polaków na świecie. Rzekomego, bo od momentu wprowadzenia programu „500 plus” i wydania nań 67 mld zł, 32 tysiące więcej rodaków kopnęło w kalendarz niż się narodziło! I przyrost naturalny w Polsce wynosi obecnie – 0,7.

Gdyby żał było komuś rezygnować z „500 plus”, w tym – pamiętajmy – dla świetnie sytuowanych rodzin, wydatki budżetowe można ograniczyć w przypadku innego konika władzy – wojska.

Jak sądzicie, ilu Polaków mniej umrze, jeśli zakupimy od Trumpa 32 samoloty bojowe F-35A za ok. 16 mld zł plus 40 mld zł na ich eksploatację? Nawet w razie wojny, którą zapewne jak zwykle przejebiemy? A ile istnień udałooby się ocalić, gdyby kasę tę wpompować w podwyższenie jakości ochrony zdrowia? Lub choćby przeznaczając ją na walkę ze smogiem, który pochłania około 45 tys. istnień rocznie?

No, ale stojące w krótszych kolejkach staruchy nigdy nie będą tak imponujące jak amerykański myśliwiec kręcący bączki na niebie.

Autorstwo: Michał Marszał

Źródło: Nie.com.pl